

Andrzej Drzewiński

Brawura

Historia, którą opiszę, jest rzeczywistą wersją wydarzeń, jakie parę lat temu narobiły sporo szumu i przez kilka tygodni nie schodziły z łamów prasy. Mimo bezpośredniego zaangażowania w całą sprawę, chcę zapewnić o swojej bezstronności i jak najdalej idącej obiektywności. Aby uprzedzić pytania, zaznaczam, że przyczyną, która mnie zmusiła do sięgnięcia po dyktafon, był artykuł niejakiego kapitana Lowesa, jaki ukazał się w ostatnim numerze „Lotów”. Fałszerstwo, zakłamanie i ignorancja to najłżejsze określenia, jakich mogę użyć w stosunku do tego człowieka. One to sprawiły, że nie będę dłużej milczał w sprawie „Pulsara”, będącej od dawna żerem dla różnego rodzaju gryzipiórków i błyskotliwych durniów.

Moja znajomość z „Pulsarem” rozpoczęła się pięć lat przed pamiętną awarią, kiedy nosił on jeszcze zwykłą nazwę XO-2 i był najzwyklejszą stacją przeładunkową na linii Callisto-Mars. Kilkanaście lat wcześniej, gdy na tym prawie największym księżycu Jowisza odkryto złoża platyny, na których chroniczny brak cierpi metalurgia, radość była olbrzymia. Niezwykle szybko, jak na owe czasy założono międzynarodową spółkę i postanowiono zbudować kanał grawitacyjny przesyłający kopalinę bezpośrednio do zakładów marsjańskich. Dzisiaj nie wydaje się to specjalną rewelacją, lecz wówczas, gdy nikt jeszcze nie próbował wykorzystać inżynierii grawitacyjnej na tak dużą skalę, przedsięwzięcie budziło powszechny podziw. Zbudowano sto stacji, nie będących niczym innym, jak potężnymi twornikami kanału grawitacyjnego, którym, w dosłownym sensie tego słowa, ruda spadała prosto na hałdy przy marsjańskich hutach. Naturalnie wszystkim wiadomo, że Mars i Jowisz nie tkwią nieruchomo, a wprost przeciwnie – stale zmieniają wzajemne położenie, nie mówiąc już o asteroidach, co wymaga dużej zdolności automatyki kierującej trasą kanału. Ten fakt zmusił spółkę do zbudowania dwóch stacji załogowych, które swobodnie krążąc na trasie

Mars-Jowisz, nadzorowały całość przedsięwzięcia. W jednej z nich jako elektronik znalazłem pracę na stanowisku zastępcy dowódcy. Z góry zastrzegam się, że fakt, iż mój ojciec był wiceprezesem spółki, miał znikome znaczenie przy awansie na to stanowisko, a już z pewnością nie wpływa na rzetelność mojego opowiadania. Mówię o tym, gdyż wiem, że ludzie lubią doszukiwać się we wszystkim najróżniejszych powiązań.

Praca była stosunkowo prosta, co najwyżej raz na miesiąc trzeba było przysiąść fałdów. Żywności mieliśmy w bród i jedyne, na co mogłem narzekać, to fakt, iż do najbliższego większego Centrum miałem, w najlepszym przypadku, aż osiem godzin lotu „Grawitem”.

Pamiętam dobrze dzień, kiedy zaczęła się cała heca. Miałem dwa dni urlopu i z tej okazji wstałem dość późno. Idąc do dyspozytorni modliłem się w duchu, aby przypadkiem nie wysiadł któryś z układów. Piekielnie nie chciało mi się biegać z kopącym Univerem i dłubać w płytkach. Poza tym morderczo bolała mnie głowa, gdyż poprzedniego wieczoru urządziłem małe przyjęcie pożegnalne. Opisuję to tak dokładnie, gdyż tylko wtedy może wam się uda wyobrazić sobie moją zbaraniałą minę, kiedy odczytałem podpuchniętymi oczyma napis na monitorze Ściennym:

TRANSPORT PRZERWANY

Zanim, rozmasowując skronie, zrozumiałem, co to znaczy, zawołał mnie Robert, dowódca stacji.

– Stefan, co się tak grzebiesz? – syczał. – Dzwonię na ciebie od piętnastu minut! Chyba widzisz, co się dzieje?!

Nie mogłem mu powiedzieć, że brzęczyk zapchałem wczoraj bibułą, a monitor wysmarowałem majonezem, więc ugodowo wymruczałem coś pod nosem.

– Co się stało? – spytałem w końcu zrozumiałej, ale nad pulpitem łączności zabłysnął napis „Mars” i Robert usiadł przy nim, tłumacząc się gęsto do mikrofonu.

Rozejrzałem się wokoło. Wszyscy byli zajęci, poza Totem, który smętnie obierał banana.

– Druga dostała świra – stwierdził pogodnie, nadgryzając mięsz.

Druga była to właśnie stacja XO-2. Swój numer zawdzięczała temu, że licząc od Marsa była druga w kolejności.

– To znaczy? – warknąłem ponagląjąco.

Tot ze spokojem przełknął kolejny kawałek.

– Wysiadła synchronizacja i, cholera, nie reaguje na nasze sygnały. Za jakieś dziesięć minut będziemy na miejscu – dodał spoglądając na zegar.

Zaskoczony milczałem, gdyż była to pierwsza tak poważna awaria systemu. Rzecz na tyle paskudna, że każda stacja powinna wytwarzać ściśle ukierunkowany korytarz grawitacyjny o odpowiednim gradiencie pola. Każde jego zaburzenie przerywało pracę ciągu przekaźników tak samo, jakby z ludzi podających sobie cegły, jeden zgłupiał i zaczął wyrzucać je za siebie, bądź przestał łapać nadchodzące. Efekt był jeden. Surowiec nie dochodził na miejsce przeznaczenia.

– Dużo rudy stracono? – spytałem.

Tot z zadziwiającą wprawą cisnął skórkę z banana do odpylacza.

– Zanim się połapaliśmy, ten kretyński przekaźnik zdążył machnąć w przestrzeń kilkanaście ton. O mały figiel nie ustrześlił w locie transportowca z Tytana, ale i tak kamienie uszkodziły im kompensator i czekają teraz na Straż.

– Czy nic im nie grozi? – zaniepokoiłem się chyba tylko dlatego, że okrutnie lubiłem piwo z podziemi saturniańskiego satelity.

– Nie, gdzie tam – Tot machnął ręką, ja zaś poczułem w, tym momencie czyjś wzrok.

Za nami stał Robert. Już nie był zły, tylko zmartwiony.

– Tot ci powiedział? – spytał machinalnie.

Tot, który bał się dowódcy jak ognia, miał zwyczaj unikania jego obecności, więc i tym razem wykrzywił się paskudnie i bez słowa pobiegł do swojej przystawki. Robert pokręcił głową.

– Przekażnik wart jest kupę forsy. Agencja na Marsie życzy sobie, abyśmy go anihilowali tylko w przypadku najwyższej konieczności. Trzy razy mi to powtarzali! A ta cholera ma takie oscylacje, że nie ma cudów, abyśmy mogli zainstalować rezerwę.

Rezerwą nazwaliśmy zapasowy przekaźnik, który był na naszej stacji.

– No to anihilujmy! – skwitowałem.

Popatrzył na mnie w jakiś szczególny sposób.

– Ciebie nie ruszą, a ja będę musiał się pożegnać z pracą, jak im zmarnuję tych parę miliardów.

Mówił to bez specjalnej goryczy; pozwoliło mi to uciec z drażliwego tematu.

– Chodźmy do Marka – zaproponowałem.

Facet w przepoconej koszuli był probabilistyką i w przypadku awarii miał za zadanie opracować model wyjaśniający źródło zaburzeń i zalecić optymalny tok postępowania.

– Jak tam, Marku? – spytał Robert, zerkając na monitor, gdzie wyskakiwały rzędy białych cyfr.

– Zaraz – odparł tamten niecierpliwie i w sobie tylko znanym rytmie zaczął bębnić po klawiszach.

Najwyraźniej potrzebował spokoju. Cofnęliśmy się.

– Promień w jakim daje się odczuć wibrację pola, ma tysiąc kilometrów średnicy – mówił dowódca. – Oscylacje są tak szybkie, że każdy obiekt schodzący poniżej pięciu kilometrów może się rozwalić w kawałki. A przecież rezerwę należy nie tylko tam umieścić, ale jeszcze ma się ona utrzymać w korytarzu, co w tych warunkach jest niemożliwe. Przytaknąłem mu i zaproponowałem:

– To może zmienić ustawienie przekaźników?

Robert rozłożył ręce.

– Ba!.. Sęk w tym, że przestawienie całego tego układu na inny zabrałoby ponad dwa tygodnie.

– Tak, więc znów będą takie same koszty – przeliczyłem szybko.

Robert westchnął i pociągnął nosem, jakby maskując westchnienie.

– Rozmawiałem z Kosmonią, ale powiedzieli mi, że nie zgadzają się, abyśmy nasz transport puszczali ich korytarzem rakiety. Wyliczyli mi, durnie, jakbym sam nie wiedział, co by się stało, gdyby któryś ze statków zderzył się z naszą rudą.

Miał opuchnięte oczy, które przypominały, że po nocnym dyżurze, zamiast pójść spać, wpakował się w taką kabałę. Z tyłu rozległo się triumfalne rzenie Marka. Podeszliśmy tam.

– Zmiany pola o tej charakterystyce mogły powstać tylko w wyniku sprzęgnięcia się programów komputera – mówił, obracając się do nas w fotelu. – Jediną tego przyczyną mogło być przegrzanie obwodów zasilanych z baterii energetycznych. Zgodnie z testami prawdopodobieństwa niezadziałanie ogranicznika mocy wypada jak jeden do dziesięciu z dwudziestoma zerami... .

– Bomba! – mruknąłem. – Ale jaka jest na to rada?

– Rozwalić, zestrzelić albo obciąć, jak kto woli, baterię i pozbawiony energii komputer przejdzie na bieg jałowy, co zatrzyma cały przekaźnik.

– Konkretniej! – warknął Robert, na co Marek uniósł tylko brwi.

– Najbardziej efektywna akcja to wysłanie pojazdu ratunkowego na odległość ośmiuset metrów i ostrzelanie przekaźnika z lasera. Prawdopodobieństwo powodzenia poniżej jeden procent – dodał już ciszej.

– Szlag by to trafił! – zaklął Robert, nie zważając na gesty nawigatora sygnalizującego, że zatrzymaliśmy się na piątym kilometrze od celu.

Stacja lekko wibrowała, był to znak, że nasze komputery mają pewne kłopoty z kompensacją zewnętrznego pola.

– Gdyby podejść na pięćset metrów, prawdopodobieństwo zatrzymania przekaźnika wzrosłoby do dwudziestu procent – rzekł Marek i pod wzrokiem Roberta dodał: – Ale pojazd może nie wytrzymać, ma pięćdziesiąt procent szans. Więc niby...

– Polecisz? – przerwał Robert.

Marek nabrał rumieńców i uciekł wzrokiem.

– Nie... z chęcią, ale... – jąkał się.

Robert machnął ręką i delikatnie przyglądał włosy, jakby chciał sprawdzić, czy są na miejscu. Ruszyliśmy do nawigatora, który już miał dla nas dane o warunkach zewnętrznych.

– Paskudne wibracje, przewaga amplitudy wertykalnej z poziomem ufności poniżej trzech, a harmonika ma tendencje do wzrostu – sypał cyframi spod swoich odstających uszu.

Robert rozglądał się po pomieszczeniu i powoli ruszał szczęką, tak jakby żuł gumę. Siedzący spoglądali na niego, jedni ukradkiem, inni, jak Tot, z beczelnym uśmiechem. Wiedzieli, iż czas zbierania danych się skończył i że dowódca musi podjąć decyzję.

– A ty? – zwrócił się cicho do mnie. – Polecisz ze mną? – Otworzyłem usta, ale uprzedził mnie celnym sztychem:

– Wiem, że kontrakt nie przewiduje narażania życia.

Patrzył wprost w moje oczy. Odebrał mi tym wszystkie środki strategii: skomplikowane zwroty, niedomówienia i inne niuanse. Przełknąłem ślinę, czując się chorobliwie zmęczony.

– Sam mówiłeś, że mnie i tak nie wywalą.

Próbowałem obrócić to w żart, ale nawet tego nie zauważył, jakby z góry znał moją odpowiedź. Stał pośrodku sali.

– Na czas mojej nieobecności dowództwo obejmuje Stefan! – krzyknął do wszystkich. – Przygotować „, Kraba”.

Żwawym i sprężystym krokiem wyszedł na korytarz. Stamtąd miał tylko dziesięć metrów do komory „, Kraba”, naszej najlepszej jednostki ratowniczej. W dyspozytorni, przy pulpitych, zostali tylko ci, co musieli, reszta otoczyła ekran kontrolny. Stałem za nimi i chyba tylko Marek zrozumiał moje wahanie, gdyż uśmiechnął się do mnie ze smutkiem w oczach. Odwróciłem twarz do ekranu. Nie musieliśmy długo czekać.

„Krab" miał kształt czarnego spodka o średnicy około dziesięciu metrów; był widoczny dzięki świecącemu rzędowni luminoforów na obrysie tarczy. Podrzucało nim jak na fali, mimo iż wydawało się, że między naszą stacją a widoczną bryłą przekaźnika przestrzeń jest spokojna. Cóż, fale grawitacyjne są niewidoczne.

– Cicha śmierć – jak mówią zgryźliwi dziennikarze i wojskowi.

Robert, pozbawiony ochronnego pola stacji, starał się jak najszybciej dostać w pobliże przekaźnika i uruchomił pomocnicze silniki chemiczne. Widzieliśmy ich biały płomień. Są one czasami skuteczniejsze od grawitacyjnych, gdyż są mniej czułe na różne perturbacje przeciążeniowe.

„Krab" ciął jasną kreską tło gwiazd i zafascynowani dopiero po dłuższej chwili pojęliśmy, że coś nie jest w porządku. Robert nie hamował. Zrozumieliśmy to, kiedy czytnik wybił liczbę tysiąca metrów. Ktoś głośno westchnął i w sali zapadła cisza. Tylko nawigator nie wytrzymał i zaczął odliczać.

– ... dziewięćset pięćdziesiąt, dziewięćset trzydzieści...

Ciągle nie było widać płomieni hamownic. Markowi stojącemu obok mnie spadło na podłogę wieczne pióro...

– ... osiemset, siedemset siedemdziesiąt...

„Czyżby chciał się zbliżyć na odległość skutecznego strzału? – pomyślałem. Boże! Przecież załatwiłbym temu idiocie jakąś pracę!"

Poręcz fotela trzeszczały pod moimi palcami.

– ... sześćset trzydzieści, sześćset... – dudnił głos nawigatora.

Po naszych czołach spływał pot.

– Po co mi powiedziałem o tych pięciuset metrach? – zaskomlał Marek.

Było mi duszno.

„Przecież zaraz go rozwali. Stój! Zatrzymaj się, durniu" – myślałem, podświadomie oczekując eksplozji.

Odruchowo zmrużyłem oczy.

„Ty tchórze, dlaczego z nim nie poleciałeś? !" – wrzasnąłem do siebie w duchu.

– ... pięćset, czterysta siedemdziesiąt...

Fala mdłości wypełniła mi żołądek, aż zgiałem się jak z bólu. Płomyk „Kraha" podrygiwał coraz gwałtowniej, miotany przeciążeniami.

„Boże! Skąd on ma tyle odwagi? To niemożliwe, aby wytrzymał" – przemknęło mi przez głowę.

W rozpaczy trzasnąłem dłonią w poręcz fotela i w tej samej chwili ujrzałem, jak na mgnienie oka na bryle przekaźnika zabłysło olśniewające światło. Kropla

białości, którą ujrzelśmy, szybko poczęła czerwienieć wraz z tym, jak na monitorze ukazał się wydruk komputera:

ŹRÓDŁO ZABURZEŃ POLA GRAWITACYJNEGO USUNIĘTO

Trudno opisać, co się wtedy działo. Wszyscy śmiali się, klaskali, klepali po plecach, jakby to właśnie oni uniknęli straszego niebezpieczeństwa. Jedyne nawigator zachował resztki intelektu, gdyż uruchomił silnik i ruszyliśmy do „Kraba”. Widać było dokładnie żarzące się resztki baterii energetycznych, trafionych celnym impulsem lasera.

– Przygotować się do przyjęcia „Kraba” – usłyszeliśmy znajomy głos dobiegający z głośnika.

To rozwiało nasze ostatnie wątpliwości i przypomniało mi pełnią przeze mnie funkcję.

Później przywitaliśmy Roberta okrzykami radości, nie zważając na jego przekrwioną twarz. Agentura z Marsa, Callisto, „Kosmonia” – wszystko to dzwoniło, gratulowało, chwaliło, prześcigając się z nami w pochwałach. Potem nadeszła wiadomość, że Robert w uznaniu zasług dostaje od spółki aż dwadzieścia tysięcy.

– Niech żyje nasz bohater! – wrzeszczał nieskory do emocji Tot i razem z innymi podrzucał Roberta w górę.

Już wtedy dziwiłem się jego milczeniu, brakowi normalnej żywołowości, z jaką zwykł był się dzielić swoimi wrażeniami. Mimo że pytanie, czy się nie bał tak ryzykować, zadano mu na kilka różnych sposobów, to za każdym razem odpowiadał wymijająco i machał ręką. Gdy wszystko wróciło do jakiejś takiej normy i na stacji zapanował spokój, nie wytrzymałem. Podszedłem do niego, gdy poprawiał pomięte ubranie i, poufale klepiąc go po ramieniu, spytałem:

– Ciekawe, co zrobisz z taką forszą?

Pamiętam dokładnie, jak podniósł głowę i ironicznie spojrzął mi w twarz, a potem cicho odpowiedział:

– Najpierw naprawię te cholerne silniki hamujące w tym gruchocie, bo na drugi raz mogę już nie mieć takiego szczęścia.

Później, widząc moją ogłupiałą minę, zachichotał i wstał, by pomóc chłopakom ustawiać rezerwę.

Dwa tygodnie później, gdy dokładnie obliczono, co to by się mogło stać, gdyby nie naprawiono XO-2, Robert został odznaczony „Złotą Gwiazdą”. Na tym właściwie kończy się moja opowieść. Chcecie – to wiercie, chcecie – nie wiercie, ale tak było naprawdę i nikt nie powinien zarzucać Robertowi Hosowi głupoty, bądź tchórzostwa, chociaż wcale nie twierdzę, że jest on takim ryzykantem, za jakiego niektórzy go mają.